Nr. 46 Rok 3 Kraków, dnia 15 listopada 1942. 40 gr.

# Ilustrowany Kurier Polski



ADAGIO! ADAGIO! JESIEŃ!

Fot. Borek





Pierwsze sowieckie straże przednie zostają wybite w walce wręcz lub wzięte do niewoli.



Jeden z sowieckich rowów zdobyło w walce i zrolowano. Fala ataku niemieckiego posuwa się naprzód; chodzi tu o zamyka-

# SOWIECI W

Gotowi do ataku! Jeszcze jedno spojrzenie przez lornetkę, a zaraz uderzą żołnierze broni SS na sowieckie okopy.



**OSTATNIE ZDJĘCIA Z WYNISZCZAJĄCEJ BITWY NA POŁUDNIE OD JEZIORA ILMEN.**

**TU ZNAJDUJĄ SIĘ NASZE POZYCJE!**
Zbiegły żołnierz sowiecki w czasie przesłuchania wskazuje wojskom niemieckim na mapie pozycje sowieckie ukryte w lesie.

**Na prawo:**
**ŻOŁNIERZE NIEMIECCY BRONI SS I DYWIZJI POLICJI, ZDOBYWAJĄ W KONTRATAKU STRATEGICZNIE WAŻNĄ MIEJSCOWOŚĆ SOWIECKĄ.**

W kole na prawo:
**KARABIN MASZYNOWY W POGOTOWIU!**
Strzelec niemiecki skierował swój k. m. na pozycje sowieckie znajdujące się na skraju wsi. Za kilka minut wyśle karabin maszynowy swe śmiercionośne pociski na bolszewików.

W kole u dołu:
**PODCZAS PRZERWY W WALCE NA TORZE KOLEJOWYM**
Po krótkiej walce zostali żołnierze sowieccy wyparci ze swych pozycji i cofnęli się do gęstego lasu. Niemcy okopują się przy torze kolejowym.

# ATAK



# NA R







jące kocioł połączenie się z nacierającymi z drugiej strony o d d z i a ł a m i niemieckimi.

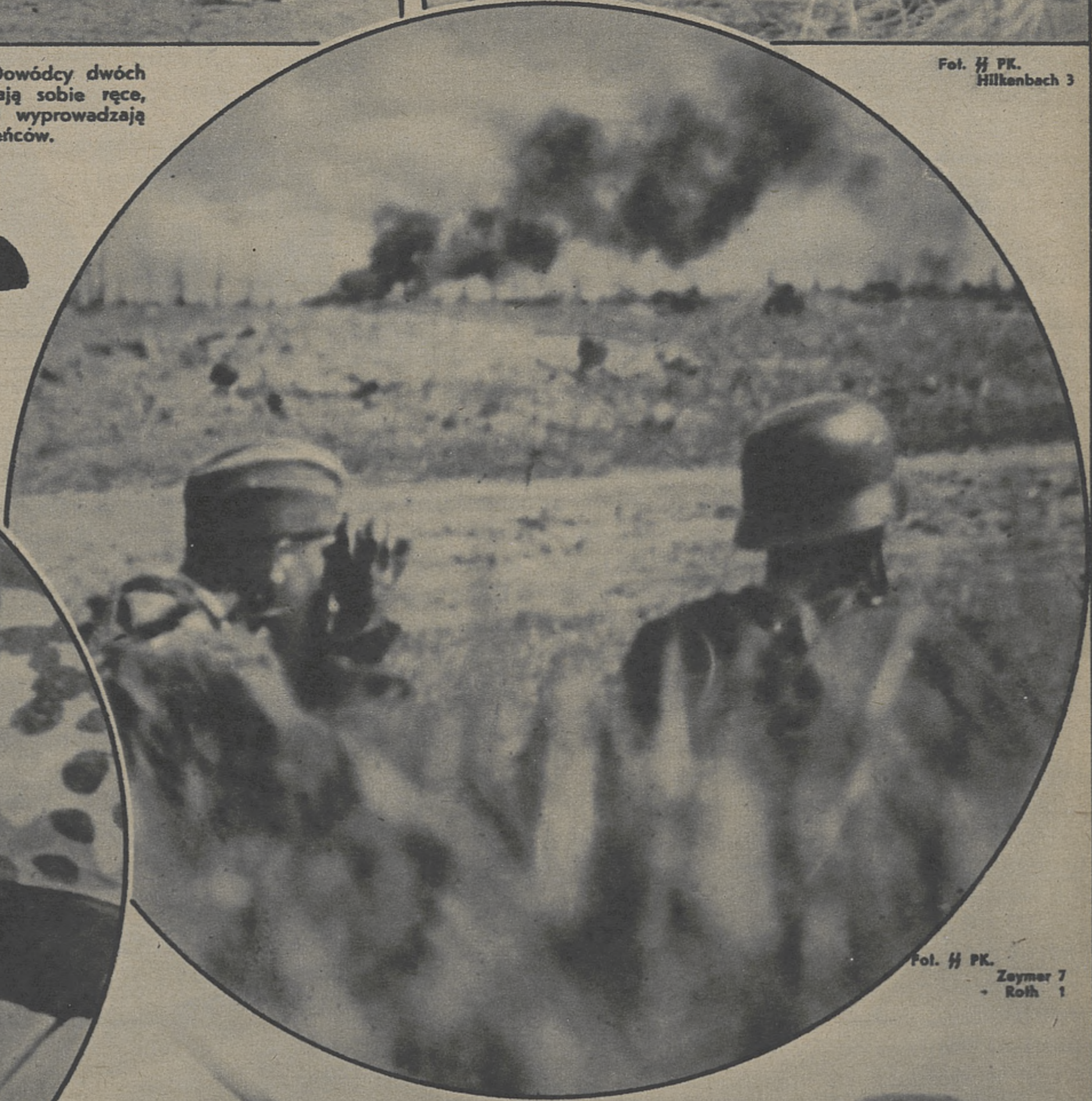
Decydujący moment. Kocioł jest zamknięty. Dowódcy dwóch niemieckich oddziałów wywiadowczych podają sobie ręce, podczas gdy z gęstych zarośli (na prawo) wyprowadzają niemieccy żołnierze wciąż nowych jeńców.

Fot. SS PK.
Hilkenbach 3

# KOTLE

W kole: **U CELU**
Na skutek ognia niemieckiej artylerii opuścili żołnierze sowieccy wieś, z której pozostały tylko dymiące zgliszcza.





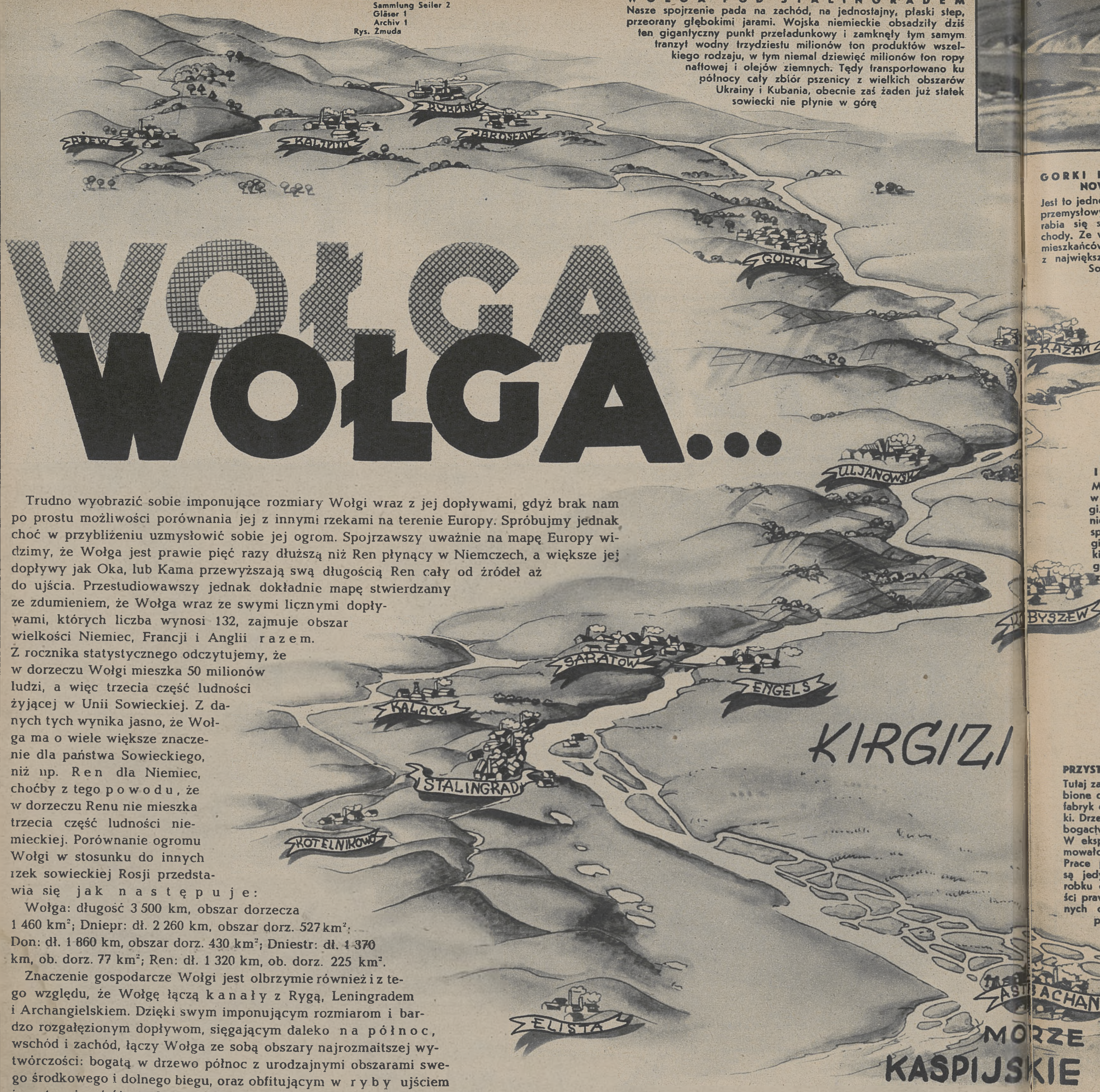
Fot. SS PK.
Zeymer 7
Roth 1



U dołu:
**BICI WŁASNĄ BRONIĄ**
Wzięty do niewoli żołnierz sowiecki ustawia do strzału zdobyty rosyjski miotacz granatów.



# OŁAWKĘ




# WOŁGA WOŁGA...

Fot. Scherl 2
Sammlung Seiler 2
Gläser 1
Archiv 1
Rys. Żmuda



**WOŁGA POD STALINGRADEM**
Nasze spojrzenie pada na zachód, na jednostajny, płaski step, przeorany głębokimi jarami. Wojska niemieckie obsadziły dziś ten gigantyczny punkt przeładunkowy i zamknęły tym samym tranzyt wodny trzydziestu milionów ton produktów wszelkiego rodzaju, w tym niemal dziewięć milionów ton ropy naftowej i olejów ziemnych. Tędy transportowano ku północy cały zbiór pszenicy z wielkich obszarów Ukrainy i Kubania, obecnie zaś żaden już statek sowiecki nie płynie w górę

Trudno wyobrazić sobie imponujące rozmiary Wołgi wraz z jej dopływami, gdyż brak nam po prostu możliwości porównania jej z innymi rzekami na terenie Europy. Spróbujmy jednak choć w przybliżeniu uzmysłowić sobie jej ogrom. Spojrzawszy uważnie na mapę Europy widzimy, że Wołga jest prawie pięć razy dłuższą niż Ren płynący w Niemczech, a większe jej dopływy jak Oka, lub Kama przewyższają swą długością Ren cały od źródeł aż do ujścia. Przestudiowawszy jednak dokładnie mapę stwierdzamy ze zdumieniem, że Wołga wraz ze swymi licznymi dopływami, których liczba wynosi 132, zajmuje obszar wielkości Niemiec, Francji i Anglii razem. Z rocznika statystycznego odczytujemy, że w dorzeczu Wołgi mieszka 50 milionów ludzi, a więc trzecia część ludności żyjącej w Unii Sowieckiej. Z danych tych wynika jasno, że Wołga ma o wiele większe znaczenie dla państwa Sowieckiego, niż np. Ren dla Niemiec, choćby z tego powodu, że w dorzeczu Renu nie mieszka trzecia część ludności niemieckiej. Porównanie ogromu Wołgi w stosunku do innych rzek sowieckiej Rosji przedstawia się jak następuje:

Wołga: długość 3 500 km, obszar dorzecza 1 460 km²; Dniepr: dł. 2 260 km, obszar dorz. 527 km²; Don: dł. 1 860 km, obszar dorz. 430 km²; Dniestr: dł. 1 370 km, ob. dorz. 77 km²; Ren: dł. 1 320 km, ob. dorz. 225 km².

Znaczenie gospodarcze Wołgi jest olbrzymie również i z tego względu, że Wołgę łączą kanały z Rygą, Leningradem i Archangielskiem. Dzięki swym imponującym rozmiarom i bardzo rozgałęzionym dopływom, sięgającym daleko na północ, wschód i zachód, łączy Wołga ze sobą obszary najrozmaitszej wytwórczości: bogatą w drzewo północ z urodzajnymi obszarami swego środkowego i dolnego biegu, oraz obfitującym w ryby ujściem i centrami najróżnorodniejszego przemysłu rozmieszczonymi nad brzegami Wołgi samej i jej dopływów. Na jak wielką skalę rozwinęły się właśnie miasta przemysłowe położone nad jej brzegiem, od czasu pierwszej piatiletki i jak wielkim jest ich znaczenie — świadczy o tym najlepiej przyrost ludności tych miast.

Oto kilka cyfr z rocznika statystycznego:

| | 1926 | 1933 | 1939 |
|---|---|---|---|
| Moskwa . . . . . . . . . . | 2 019 000 | 3 663 000 | 4 137 000 |
| Gorki . . . . . . . . . . | 185 000 | 452 000 | 644 000 |
| Samara . . . . . . . . . . | 172 000 | 260 000 | 280 000 |
| Saratów . . . . . . . . . . | 211 000 | 328 000 | 375 000 |
| Stalingrad . . . . . . . . | 143 000 | 388 000 | 445 000 |
| Astrachan . . . . . . . . | 150 000 | 225 000 | 253 000 |

W miarę wzrostu przemysłu, ożywiła się również bardzo żegluga na Wołdze, a zwłaszcza transporty towarów:

w roku 1926 ruch transportu towarowego na Wołdze wynosił 17,3 mil. ton
„ 1930 „ „ „ „ „ „ 27,4 „ „
„ 1938 „ „ „ „ „ „ 30,0 „ „

Przewidywano dalszy wzrost ruchu towarowego, aż do 33 milionów ton na r. 1942. Znaczenie tak potężnych transportów towarowych w ruchu międzypaństwowej komunikacji, najlepiej uzmysłowi nam porównanie go ze statystyką przewozu towarów na trzech największych kanałach świata:

w roku 1937 przewieziono przez kanał cesarza Wilhelma 23 279 mil. ton
„ „ „ „ „ Suezki 27 236 „ „
„ „ „ „ „ Panamski 19 977 „ „

Jak widzimy ruch towarowy na Wołdze przewyższa ilościowo transporty towarów każdego z tych trzech kanałów.

Wśród towarów przewożonych Wołgą pierwsze miejsce zajmuje od piętnastu z górą lat drzewo. Przeciętnie ilość spławianego Wołgą drzewa wynosi 55 proc. transportów towarowych. Ubogie w drzewo okręgi jak Samara Satow i Astrachan; wyłącznie zaopatrują się w drzewo spławiane Wołgą.

Niezbędną, ropę naftową dla centrów przemysłu, położonych od Stalingradu w górę aż po Gorki sprowadza się Wołgą z Kaukazu przez Astrachan. Do czasu wojny z Unią Sowiecką przewożono rocznie 7—8 mil. ton ropy naftowej drogami wodnymi, i aż do roku 1942 mogły okręty przewozic 10 milionów ton ropy naftowej. Nie potrzeba opisywac skutków zahamowania ruchu transportów towarowych na Wołdze dla przemysłu sowieckiego, gdyż jedyna linia kolejowa, po której już przedtem szły częściowo transporty towarów, sama jedna, gdyby nawet nie leżała w zasięgu niemieckiej broni lotniczej, nie mogłaby podołac tak wielkim zapotrzebowaniom.



**GORKI DAWNIEJ NIŻNY NOWOGRÓD**
Jest to jedno z ważnych miast przemysłowych, gdzie wyrabia się samoloty i samochody. Ze względu na liczbę mieszkańców jest ono jednym z największych miast Rosji Sowieckiej.



**ASTRACHAN — RAJ RYBAKÓW I MYŚLIWCÓW**
Miasto znajduje się w samej delcie Wołgi. Gdy śniegi topnieją i masy wodne spływają do morza giną wszelkie wysepki i trudno dojrzeć gołym okiem brzegi z drugiej strony rzeki.



**WALKI O STALINGRAD TRWAJĄ**
„Pozostało tam jeszcze parę drobniutkich skrawków ziemi”, powiada Adolf Hitler w swojej ostatniej mowie, „... nie chcę, aby tam powstało drugie Verdun, dlatego wolę operować zupełnie drobnymi oddziałami szturmowymi. Czas nie odgrywa przy tym dla nas żadnej roli”. Na naszym zdjęciu widzimy jeńców wziętych w walce wśród ruin i zgliszcz, a wśród nich kobiety i czternastoletnich chłopców.



**PRZYSTAŃ NA WOŁDZE**
Tutaj załadowuje się obrobione drzewo i wysyła do fabryk do dalszej przeróbki. Drzewo stanowi wielkie bogactwo naturalne kraju. W eksporcie Z.S.R.R. zajmowało pierwsze miejsce. Prace przy wyrębie lasu są jedynym źródłem zarobku dla ubogiej ludności prawie pustych i głodnych obszarów na całej północy kraju.

Również co się tyczy kwestii wyżywienia ludności mieszkającej w dorzeczu Wołgi — ruch na Wołdze jest nie do zastąpienia. Utrata w ciągu wojny olbrzymich terenów surowców niezbędnych dla przemysłu oraz utrata okręgów o tak olbrzymim znaczeniu gospodarczym, mamy na myśli zajęte przez Niemcy olbrzymie południowe połacie kraju, położone na zachód od Wołgi, a ostatnio utrata Wołgi jako arterii transportowej całego kraju, niewątpliwie musi pociągnąć za sobą zastój w przemyśle i innych dziedzinach Unii Sowieckiej.



Znany obraz Iljana Repina pl. „Burłaki”.

# Winobranie na Montmartre

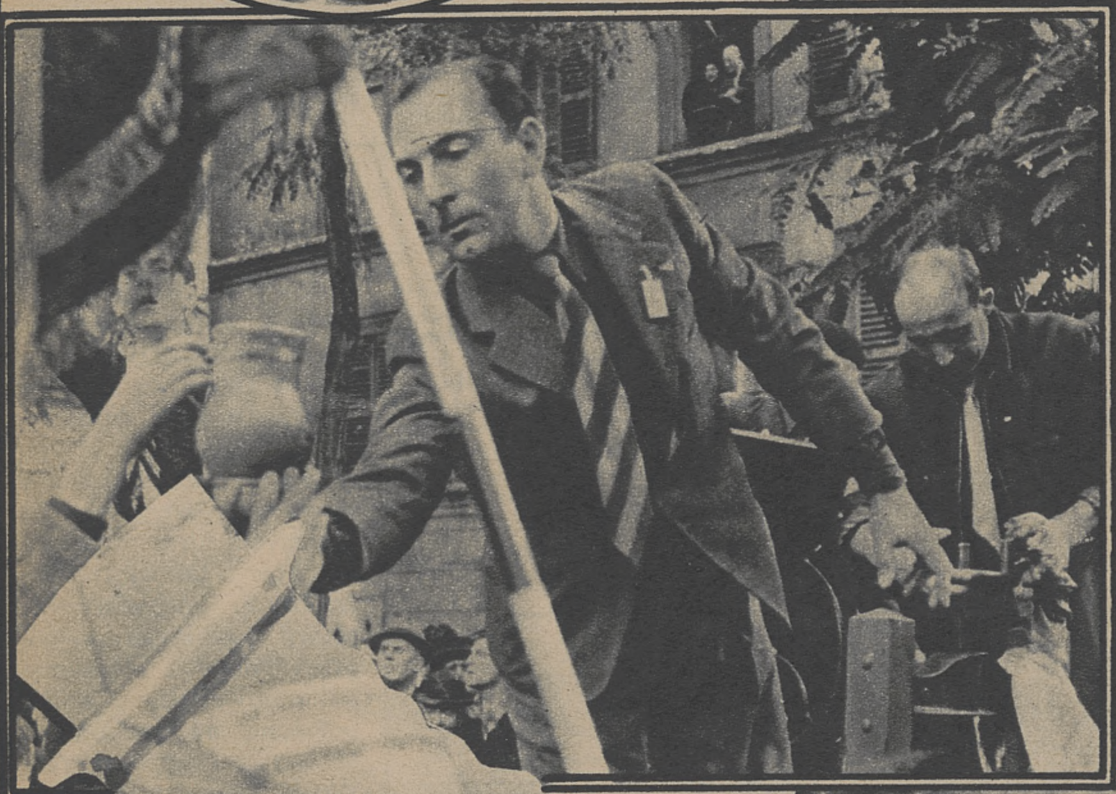
Poniżej:
**TŁOCZENIE ŚWIEŻYCH WINOGRON**
Na podwyższonym rusztowaniu, ustawionym w rynku odbywa się, w specjalnej kadzi z prasą, tłoczenie winogron i wyciskanie moszczu winnego. Ze wszech stron cisną się tłumy Paryżan, by otrzymać dzban świeżego wina.

Poniżej:
**PRZY DZBANIE WINA**
Zarówno starzy jak i młodzi siedzą na rynkowym placu przy stolikach i w promieniach jesiennego słońca popijają ze smakiem doskonały moszcz winny, ze świeżych winogron Montmartru.



Fot. Tschira 5





Powyżej:
**„WYSZYNK" MŁODEGO WINA**
Skoro tylko moszcz winny wyjdzie spod prasy — odbywa się jego wyszynk.



Do prastarych tradycji Paryża należy niewątpliwie — uroczystość winobrania na Montmartre, która swą oryginalnością przypomina nam czasy, kiedy żadne auta, ani omnibusy nie pędziły ulicami tego miasta.

W samym sercu miasta — na Montmartre — zachowały się do dzisiejszego dnia stare winnice, gdzie rok rocznie jesienią odbywa się uroczyste winobranie.

Wprawdzie szlachetniejsze gatunki winorośli tutaj nie udają się, to jednak wino z Montmartre — cieszy się dużą popularnością zarówno u starych jak i młodych.

Okres wyciskania moszczu winnego pozostał nadal świętem ludowym i ważnym wydarzeniem miasta. Strojne tłumy Paryżan ciągną na wzgórza Montmartru, by uczestniczyć w uroczystości. Gwarno tu i wesoło. Nawet majestatyczny kościół „Sacre Coeur" ożywia się tłumami wiernych

Aktorki — tego sławnego na cały świat, że swych scen teatralnych — miasta — w malowniczych strojach ludowych zrywają winogrona, a następnie wraz z tłumem w uroczystym pochodzie, niosąc kosze napełnione winogronami — udają się na rynek, gdzie odbywa się wyciskanie moszczu winnego w specjalnej kadzi z prasą, lub częściowo sprzedaje się winogrona jako owoce. Nie mniej uroczyście obchodzono winobranie w roku bieżącym, przy czym sprzedano pewną część winogron na licytacji i uzyskano niezwykle wysokie ceny dochodzące do 2 000 franków za kosz. Pieniądze te przeznaczono na rzecz ubogich.

**„PRAWDZIWE WINO „MONTMARTRE" — 10 FR. BUTELKA!"**
stanowi ono swego rodzaju curiosum, gdyż jest sporządzane z winogron, które w obrębie Paryża rosną i dojrzewają.




Na prawo:
**LICYTACJA WINOGRON**
Winogrona paryskie wyhodowane na Montmartre sprzedawano tego roku drogą licytacji, na rzecz ubogich.




**Streszczenie poprzednich odcinków**

*W pensjonacie Florentyny Dębo- równy po raz wtóry znikła młoda dziewczyna. Ruch, przestrach, domysły. Poszukiwania nie naprowadziły na żaden najmniejszy ślad. Znaleziono jedynie drogocenny grzebień, będący własnością Edyth Ferallano, serdecznej przyjaciółki Flory, która ją często odwiedzała, ale w czasie zniknięcia panny Ewy Bronówny nie była obecną w pensjonacie. Śledztwo w toku. Przesłuchiwano Florę, a następnie inżyniera Stanisława Grzebińskiego. Po przesłuchaniu komisarz wiedział tylko tyle, że Grzebiński mógłby powiedzieć wiele i żadne jego słowo nie byłoby bez znaczenia, — niestety — Grzebiński milczał.*

*W kilka dni później przyjechała Edyth i namawia Florę do wyjazdu wypoczynkowego. Po dłuższym namyśle Flora ulega namowom przyjaciółki. Pierwszym postojem w czasie podróży jest Kraków, willa panny Ferallano.*

— W Krakowie, — rzekł — skąd pan mnie wezwałeś, została w mym domu jedyna córeczka. Gdyby na miejscu chorej było w tej chwili moje własne dziecko, byłbym równie bezsilny i równie rozżalony. Proszę nas nie obwiniać. Zjechaliśmy się z różnych stron na wezwanie szanownego pana, czyż więc może pan przypuszczać, że pozostał jakikolwiek środek, czy sposób, którego byśmy nie próbowali, nie wyczerpali!? Jestem dwadzieścia lat lekarzem i pierwszy raz zdarza mi się wypadek tej strasznej choroby, Jestem zdumiony, a ze mną wszyscy obecni tutaj panowie. Córka pana, chociaż wydaje się to niemożliwe... tak! nasz klimat łagodny, nie zdarza się... a jednak! Przynajmniej wszystkie bezwzględnie objawy świadczą o tym, gdyż długi czas byłem w Afryce z ekspedycją naukową. Córka pana zapadła na śpiączkę, na którą medycyna nie zna dotąd lekarstwa!

— Jak to!! więc... — Słowa uwięzły w gardle Balfoora i po raz pierwszy błyskawica przerażenia przebiegła mu przez twarz. Opanował się szybko, lecz lekarz zauważył.

— Ukrywaliśmy dotąd prawdę przed panem!

— Czy nie uważa pan, doktorze, że choroba ta, jako powstała przypadkiem w nieodpowiednim klimacie, będzie miała przebieg znacznie lżejszy? Czy z choroby tej nikt nigdy nie wyszedł?

— Bóg jest miłosierny.

Balfoor zrozumiał. Uśmiechnął się gorzko.

— Czy dla córki mojej zechce być miłosierny?

— To od Niego zależne — rzekł poważnie lekarz, — poleć pan córkę Bogu, gdyż żaden człowiek pomóc jej nie może!

— Więc chcecie mnie opuścić, panowie? — żywo odezwał się Balfoor.

— Nie jesteśmy potrzebni!

— Ach, zostańcie! może przyjść jakiś kryzys, przesilenie, wasza wiedza okaże się wówczas konieczną.

Nerwowo zdusił papierosa w popielniczce. Żyły na skroniach drgały mu, więc spuścił głowę, by tego nikt nie dostrzegł.

Lekarze spojrzeli na siebie. W oczach ich było pomieszanie i litość. Nie odrzekli jednak nic, tylko skłonili się nisko na znak zgody.

Nazajutrz wszystkie główne dzienniki europejskie doniosły całemu światu, że lord Jerzy Balfoor ofiaruje 10 000 dolarów nagrody temu, kto wróci zdrowie chorej śmiertelnie jego córce. Na tle tego bolesnego konkursu widniała fotografia pięknej dziewczyny. Z roztrzęsionej burzy jasnych jak słońce włosów patrzyły smutno wielkie, śliczne oczy, którym groziło, że lada dzień zgasną na zawsze. Równocześnie bowiem dzienniki te doniosły, że stan zapadłej na śpiączkę jest beznadziejny i że wezwani najznakomitsi lekarze krajowi i zagraniczni orzekli, że każdej chwili należy spodziewać się śmierci.

*

W sypialni panował półmrok, bo okna, choć otwarte, były przesłonięte. Przez szczeliny pomiędzy żaluzjami sączyło się do pokoju światło słoneczne i drgało na wykwintnych mebelkach.

Na łóżku stojącym w cieniu, leżała Agnes. Zmieniona była nie do poznania. Straszliwa choroba do tego stopnia wyniszczyła jej ciało, że ta wysoka, wysportowana dziewczyna wydawała się nieomal małym dzieckiem. Chuda twarzyczka była trupio blada i żółtawa, usta suche i sine, a półotwarte oczy, błyskające martwymi białkami, tonęły w ziemistym cieniu. Leżące pod kołdrą ręce i nogi drżały bezustannie i trzęsły się tak, że od czasu do czasu słychać było skrzypienie dygocącego w zawiasach łóżka.

Ale poza owym drżeniem rąk i nóg niczym już nie zdradzało się w niej życie. Leżała nieruchomo, nie oddychając nawet, jak woskowa lalka.

W pewnym oddaleniu od łóżka siedziało sześć osób: państwo Balfoor, syn ich, o rok młodszy od Agnes, Jan i najmłodszy czternastoletni Williams, którego Jan obejmował ramieniem, ocierając jednocześnie dłonią zapłakane oczy dziecka. Obok siedziało dwóch lekarzy.

Wszyscy milczeli. Nie mieli sobie nic do powiedzenia. A może bali się spłoszyć słowem to wątłe życie, które i tak już odchodziło od nich zwolna, lecz nieubłaganie.

W progu stanął lokaj lekko i cicho, jak duch.

— List do pana!

Wszyscy sześcioro podnieśli głowy. Lord wyciągnął rękę.

Pięć par oczu śledziło z niepokojem jego palce, rozrywające kopertę. Nagle na kolana lorda upadł duży, aptecznie zawinięty proszek.

Lekarze uśmiechnęli się wzgardliwie. Setki już takich proszków i innych leków dochodziło co dzień do rąk rodziców, pragnących za wszelką cenę uratować swe dziecko. Lekarze pozwolili stosować każdy, logiczny ich zdaniem środek, twierdząc, że Agnes nic już zaszkodzić nie może.

Oczywiście, żaden z leków, nadesłanych przez żądnych wysokiej nagrody „lekarzy" nie poskutkował, a tylko zgnębił rodziców nowym rozczarowaniem.

Obecni spoglądali więc obojętnie na proszek, który Balfoor obejrzał uważnie i zatrzymał w dłoni, następnie na małą kopertę, w której również coś było. Balfoor przeczytał naprzód list po cichu, a potem, widząc utkwione w siebie oczy, odczytał go na głos:

„Wielmożny Panie!

Załączam proszek, który córce pańskiej wróci zdrowie. Zawartość jego należy rozdzielić na sześć równych części i w równych odstępach czasu, to jest dokładnie co godzinę, jedną część tego proszku wsypać chorej w nozdrza. Nie myślę zupełnie zapewniać pana o skuteczności tego lekarstwa. Przekona się pan sam o niej po upływie sześciu godzin. Gdy córka pańska wróci do przytomności i zacznie oddychać normalnie, a jednocześnie zniknie właściwe śpiączce drżenie nóg i rąk, należy podać jej szklankę chłodnego naparu z płatu, który również w kopercie załączam. Płat ten zalać litrem wrzącej wody, a podawać chłodny przez cztery dni po jednej szklance; pora obojętna.

Zaznaczam w końcu, że załączone leki są dla osób zdrowych w najwyższym stopniu niebezpieczne, dlatego stosować je trzeba bardzo ostrożnie, by płyn nie dostał się do żołądka, a proszek do nozdrzy.

Z góry podzielam pańską radość, szlachetny lordzie i winszuję panu jednocześnie prawdziwie pięknej córki, jej samej zaś szybkiego powrotu do dawnych sił, do czego późniejszy pobyt w górach bardzo by się przyczynił.

B. C."

Balfoor ostrożnie przedarł małą kopertę. Stłumiony okrzyk wyrwał się ze wszystkich ust.

Był w niej płatek, a raczej tylko nieduża część płatka kwiatu, którego nikt nie znał. Gruby i mięsisty, a miękki jak aksamit, mienił się wszystkimi kolorami tęczy. Równocześnie w nozdrza obecnych wpadł subtelny, nieopisanie piękny zapach i natychmiast rozszedł się po całym buduarze Agnes.

— O, coś nowego — rzekł z ironią jeden z lekarzy — przy tym coś niezwykle pięknego! Czy myśli pan, że ta roślina będzie równie skuteczna, jak jest piękna?

Pani Balfoor drżała febrycznie. Oszałamiał ją zapach, więcej jeszcze oszałamiała nadzieja.

— Jerzy... — zaczęła, lecz nagle wybuchnęła płaczem.

— Uspokój się Mary, nie płacz! — rzekł spokojnie mąż i zwrócił się do lekarza:

— Czy będzie równie skuteczną? Nie wiem tego! Tyle razy zawiodłem się, spróbuję zawieść się raz jeszcze! Pan jest lekarzem, więc lepiej ode mnie wykona wskazówki nowego doradcy. Proszę postąpić ściśle według nich!

Podał list doktorowi, sam zaś wziął w rękę szarą kopertę, by ją zmiąć i odrzucić, gdy niespodziewanie zdziwienie odbiło się na jego twarzy. Ponownie obejrzał kopertę: nie mylił się, nie było na niej znaczka, ni stempla pocztowego. Przywołał dzwonkiem lokaja.

— Kiedy przyszedł ten list? Pocztą popołudniową?

— Nie, proszę pana, popołudniowa poczta została już panu doręczona. Ten list zauważyłem przypadkiem w skrzynce przed paru minutami, choć nie dalej, jak pół godziny temu, skrzynka była zupełnie pusta. Nie wiem, skąd tam się wziął, ani kto go przyniósł i kiedy.

## V.

Godziny płynęły nieznośnie ciężko i powoli, jak wszystkie godziny oczekiwania i stały się wreszcie męką tak straszną, że nawet żelazne nerwy Jerzego Bolfoora poczynały odmawiać posłuszeństwa. Dziwna rzecz! — przecież nowy doradca nie obiecywał nic innego, niż wszyscy jego poprzednicy, a jednak nigdy jeszcze tak nie biły serca... Nadzieja, niepewność, myśl o więcej niż prawdopodobnym nowym zawodzie, targały na przemian wszystkie dusze, aż je zmęczyły śmiertelnie.

Od chwili zastosowania lekarstwa upłynęło pięć godzin i pół szóstej. Za pół godziny Agnes albo miała odzyskać p r z y t o m n o ś ć, albo...

Lekarze początkowo nie chcieli podjąć się zastosowania nowego lekarstwa. Oświadczyli, że stykają się z nim po raz p i e r w s z y w życiu, a tym samym nie wiedzą, czy nadesłane proszki nie staną się ostateczną zgubą chorej. Lecz gdy Balfoor z dziwnym uporem zażądał, by uczynili wszystko, co nakazuje nowy doradca, ustąpili, oświadczając ze źle ukrytym niezadowoleniem, że nie biorą na siebie żadnej odpowiedzialności za to, co się stanie.

Była godzina pół do jedenastej w nocy. Lord w towarzystwie jednego z lekarzy czuwał w pokoju córki. Twarz jego była blada, a oczy zapadnięte i zmęczone. Oczy te spoczywały bezustannie na łóżku, obejmując smutnym wejrzeniem leżącą na nim postać.

Minuty płynęły.

Nagle Balfoor, siedzący dotąd nieruchomo, gwałtownie wstał z fotelu i podbiegł do łóżka. Zwróciło to uwagę lekarza: podniósł głowę i również zerwał się, zdążając ku łóżku. Obydwaj rzucili sobie błyskawiczne, znaczące spojrzenie:

Ręce i nogi Agnes przestawały drżeć. Za chwilę, ciszę pokoju zmąciło westchnienie: Agnes głęboko wciągnęła powietrze. Wciągała je coraz spokojniej i głębiej, jak człowiek, który się dusił przed chwilą. Równocześnie półotwarte oczy zamknęły się — usnęła.

Zegar wybił godzinę jedenastą. Należało ostatni raz zastosować zbawczy środek. Za godzinę Agnes miała odzyskać przytomność zupełnie.

Żelazna wola Balfoor'a załamała się wreszcie. Ukrył głowę w dłoniach i płakał, jak dziecko, nie zwracając uwagi na lekarza, który krążył po buduarze oszołomiony i zdumiony, powtarzając:

— To niemożliwe! to niemożliwe! niemożliwe!

Już zbliżała się północ, gdy Agnes otworzyła oczy. Natychmiast schyliła się nad nią wysoka postać. Oczy jej zetknęły się z oczyma ojca.

Poznała go i uśmiechnęła się.

— Jerzy — szepnęła cicho.

Upadł na kolana i przywarł ustami do ręki, leżącej bezsilnie na kołdrze.

Agnes uśmiechnęła się po raz drugi.

Miejskie zegary poczęły wybijać północ. Równocześnie na wieży pobliskiego kościoła począł dzwonić dzwon. Wesoło i dźwięcznie rozlegał się głos jego dokoła. Balfoor miał wrazenie, że dzwon ten głosi światu najradośniejsze Alleluja!

Agnes uśmiechała się ciągle, jak dziecko, któremu śnią się aniołowie i kwiaty.

W kilka chwil później Jerzy zapukał do pokoju żony.

Mary zerwała się, z nią Jan. Chciała podejść do drzwi, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa; czuła, że lada chwila zwali się zemdlona na podłogę; zasłoniła dłońmi oczy, jakby bała się spojrzeć w twarz tego, kto wejdzie.

— Mary!

Natychmiast podniosła głowę.

— Mary! — powtórzył Jerzy z uśmiechem, wyciągając ku niej ręce.

Zrozumiała! Krzyknęła coś i z łkaniem padła mu na szyję.

*

W starej Europie wrzało, jak w mrowisku, zburzonym nieostrożną stopą. Prasa bezustannie komentowała nienotowany dotychczas w dziejach medycyny fakt wyleczenia śpiączki, a cały przebieg choroby Agnes Balfoor opisywany był, po raz nie wiadomo który, we wszystkich językach świata.

Sfery lekarskie przyjęły wiadomość tę z przekąsem, a przede wszystkim z niedowierzaniem, lecz gdy wreszcie w Europie wybuchnął jeden wielki krzyk zdumienia i zainteresowania, a prasa stwierdziła niezbicie prawdziwość wypadku, lekarze przestali wątpić.

Tymczasem w dziennikach ukazał się sensacyjny artykuł prof. doktora Davis'a, który na życzenie Jerzego Balfoor stosował genialny lek nieznanego wynalazcy.

Podziałało to, jak wrzucenie w płomień garnca prochu. Rozpoczęły się nieskończone serie międzynarodowych zjazdów, zebrań, odczytów. Warszawa, która jako miejsce wypadku, stała się centralnym punktem tych zgromadzeń, trzęsła się od wrzawy. Ze wszystkich stron świata dążyły, w stronę gościnnego miasta setki uczonych profesorów, chemików i lekarzy. Wśród tych ostatnich byli nie tylko ludzie pracujący naukowo, ale również młodzi praktycy, bez względu na dział medycyny, w jakim się wyspecjalizowali. Zjechała się ich wreszcie ilość tak wielka, jakby w Warszawie, odbywał się jakiś światowy kongres lekarski.

*Dalszy ciąg na stronie 8-mej*

# Echo

Autorowi „Krzyża"

*Krzyż. — — Serce w piersiach rozdartych skargą i bólem skowyta,*
*a oczy biegną ku niebu, łzami pytając się „za co?!" —*
*w niewiedzy, że najszczęśliwszy ten, co nie wyszedł z niebytu,*
*lub w niebyt zdążył powrócić nim czuć i rozumieć zaczął...*
*...że nie ten z wszystkich płaczących najbardziej jest nieszczęśliwy,*
*komu po stracie; — na krzyżu zostaje imię i data.*

*Nie mniejszy ból targa sercem, gdy przyjdzie płakać — po żywym!*
*Na wieczność życia utracić, a codzień w życie swe wplatać!...*

*Są straty gorsze od śmierci! — Są życia od męki cięższe, że nieraz umrzeć byłoby najlepiej — ach! — i najprościej, a trzeba w ból swój iść naprzód,*
*jak w dziką bezkresną przestrzeń, dopóki krzyż nie zatrzyma...*
*krzyż — słup graniczny nicości.*

— — — — — — — — — —

*Śmierć zimna, cicha, zajrzała w ocząt dziecinnych błękit, zanim swym zezem złośliwym życie zdążyło w nie spojrzeć, i kwiat usteczek maluchnych w najpierwszym rozchylu przekwitł — może widomą oznaką przecudnej Litości Bożej...*

**Krysta Opalińska**

*Ciąg dalszy ze strony 7-mej*

Czyniono najrozmaitsze domysły, ale niestety ciekawość świata nie została zaspokojona. Nieznany wynalazca okazał się głuchy na prośby, płynące ku niemu na falach eteru wszystkich długości, — ślepy na wezwania, drukowane dzień w dzień na łamach najpoczytniejszych pism, — nieczuły na obietnice, opiewające na bajeczne wprost sumy, wyrażane we wszystkich możliwych walutach obiegowych.

Agnes Balfoor, wróciwszy do sił, złożyła swemu zbawcy serdeczne podziękowanie i wyrazy dozgonnej wdzięczności, tą samą drogą, jaką ongiś ojciec zwrócił się do świata o ratunek dla niej. Równocześnie prosiła go, by zechciał zgłosić się po należną sobie nagrodę 10 000 dolarów.

W kilka dni później główny dziennik zamieścił odpowiedź, nadesłaną do redakcji nie wiadomo jakim sposobem:

Do panny Agnes Balfoor
w Warszawie

Za życie nie płaci się pieniądzmi, ni słowem, toteż pieniędzy twych i podziękowań nie przyjmuję, o piękna pani! Ja zresztą nie ocaliłem cię przed śmiercią — ja tylko na czas jakiś oddaliłem ją od ciebie. Wszak wszyscy umrzeć musimy! Lecz ty, o pani, zbyt piękną jesteś, by teraz umierać! Pamiętaj, że ocalenie zawdzięczasz samej sobie! Więc za ofiarowaną mi sumę spraw sobie jedną jeszcze toaletę, a co do podziękowań, to może jeszcze nadejść taki czas, że za usługę zażądam wdzięczności, a od kobiety pięknej nie można żądać za wiele...! Pozdrawiam cię, o jasnowłosa i zapewniam, że jestem twym oddanym sługą

B. C."

Agnes nie miała zarozumiałości, właściwej kobietom przeciętnym, toteż hołd, złożony publicznie jej urodzie, nie tylko nie wprawił jej w dumę, ale wzbudził w niej pewien rodzaj zażenowania. Była zupełnie przekonana, że nieznany wybawca mocno przesadza w zapędzie kurtuazji.

Spodziewano się powszechnie, że podziękuje mu raz jeszcze, w związku z odrzuceniem przez niego nagrody. Lecz Agnes pojęła, że dobroczyńca jej pragnie pozostać w ukryciu i nie chce, by o nim mówiono. Ze słów „może nadejść taki czas" wywnioskowała, że jeżeli zechce zdradzić swe nazwisko, uczyni to dobrowolnie i nie trzeba więcej zmuszać go do tego.

Na wzmiankę o nowej toalecie uśmiechnęła się. Wyciągnęła z szufladki nocnego stolika czek na 10 000 dolarów, wypełniony i podpisany przez Jerzego Balfoor.

— Toaleta za 10 000 dolarów!... — Agnes roześmiała się głośno. — Musiałaby chyba być wysadzana drogimi kamieniami.

Wyjęła z torebki swej wieczne pióro i napisała coś na odwrocie czeku. Potem wsunęła go w kopertę, którą zaadresowała i schowała niezaklejoną do szufladki.

Wyciągnęła rękę i podniosła słuchawkę telefoniczną.

— Jerzy?

— To ty, Agnes? Jak się czujesz?

— Doskonale! mam dla ciebie niespodziankę!

— No? jaką?

— Tego nie można powiedzieć, to trzeba pokazać! „Jeszcze jedna toaleta!" — akcentowała.

Balfoor zdziwił się.

— Skąd ją wzięłaś? Przecież jeszcze z łóżka nie wstajesz!

— Dzieją się cuda! O najlepszy dowód w tym, że w tej chwili mówię do ciebie...

— Bardzo jestem ciekaw tej nowej toalety!

Agnes roześmiała się wdzięcznie do aparatu, potem, pożegnawszy ojca, zawiesiła słuchawkę i zabrała się do przeglądania stosu poczty. To znajomi i przyjaciele winszowali jej powrotu do zdrowia i wypytywali, kiedy ujrzą ją znowu.

W południe państwo Balfoor wpadli do pokoju córki. Uściskała ich wesoła i szczęśliwa, usadowiła koło siebie na łóżku i kazała im zamknąć oczy.

Wyciągnęła kopertę z szufladki.

— Już!

Otworzyli oczy.

— Gdzież ta sukienka?

Podsunęła im kopertę przed oczy.

„Do Zarządu kolonii wakacyjnej dla biednych dzieci".

Agnes na widok zdumionych twarzy rodziców roześmiała się głośno. Wyjęła czek z koperty i odwróciła. Przeczytali:

Fundusz im. Jerzego i Marii Balfoor'ów.

Jerzy Balfoor chwycił córkę w ramiona i całował długo jej jasne włosy. Matka uściskała ją również.

— No, czyż nie śliczną mam toaletę?

— Jest naprawdę śliczna, moja Agnes, i przyznaję, że w żadnej jeszcze nie było ci tak do twarzy, jak w tej! Ale to nie są pieniądze ode mnie! One są twoje! Dlaczego fundusz imienia mego i Mary?

— A czyż te pieniądze są moje? Przecież ty przyrzekałeś nagrodę, nie ja!

— W takim razie dodaj jeszcze swoje imię. Niech będzie od nas trojga!

— Będzie od nas wszystkich. — rzekła Agnes i przekreśliwszy poprzedni napis, umieściła nowy:

Fundusz im. Rodziny Balfoor'ów.

Tego dnia postanowiono, że po zupełnym powrocie Agnes do zdrowia wyda się uroczysty bankiet, na cześć jej nieznanego zbawcy i na pamiątkę cudownego uratowania jej od śmierci.

## VI.

Biały wachlarz chwiał się, jak wielki motyl, nad widownią opery. Flora chłodziła twarz, rozgrzaną dusznym powietrzem i spoglądała na kłębiące się w dole mrowisko ludzkie.

Była zadowolona. Dawno niesłyszany gwar stolicy ożywił ją i rozweselił. Była bardzo wdzięczną Edyth za pomysł pójścia na operę.

Oczy jej biegały po twarzach widzów. Co chwila jej czarna główka schylała się, witając znajomych, którzy posyłali ukłony w stronę jej loży.

Po lewej stronie Flory siedział Stanisław, a po prawej Edyth. Wszyscy troje spoglądali po teatrze, dzieląc się nawzajem wrażeniami.

Do sąsiedniej prawej loży weszło towarzystwo, złożone z pięciu osób, trzech panów i dwóch pań. Pierwsza była to starsza kobieta, przystojna i wykwintna, w czarnej sukni; druga, była to młoda, wysoka panna, jasnowłosa, o ślicznej postaci, owianej czarem srebrzystej toalety. Między nimi postępował siwiejący mężczyzna o długiej, ostrej twarzy. Młoda panna była do niego tak uderzająco podobną, że na pierwszy rzut oka odgadywało się w nich ojca i córkę.

Za trójką tą postępowało dwóch młodych ludzi, trzymających się poufale pod rękę.

Towarzystwo poczęło zajmować miejsca. Młoda panna usiadła w fotelu najbliższym loży Florentyny.

Spojrzawszy na nią Flora zwróciła się szybko do Edyth:

— Patrz! Czy to nie jest przypadkiem panna Balfoor, która chorowała tak ciężko?! Jeszcze u ciebie, w Krakowie, oglądałyśmy razem jej fotografię w gazecie!

— Myślisz? — zastanawiała się chwilę Edyth. — Rzeczywiście! Ona!

Florentyna spojrzała dyskretnie w kierunku loży Balfoorów, lecz w tej chwili światła zgasły.

Podczas pierwszej przerwy Jan nachylił się nad siostrą.

— Spójrz, Agnes, jaka cudna dziewczyna siedzi obok w loży!

Agnes przechyliła się lekko i zatrzymała oczy na główce Florentyny. Nieruchomy profil rysował się delikatnie na purpurowym tle obicia. Edyth przemówiła coś. Flora zwróciła ku niej twarz, a wówczas jej granatowe przecudowne oczy splotły się ze spojrzeniem Angielki.

— Cudna!! — zdołała zaledwie wyszeptać Agnes, nie mogąc oderwać oczu od białej twarzy Florentyny.

Po chwili Jan Balfoor znowu pochylił się do ucha siostry:

— Ty za to spodobałaś się jej towarzyszce! Oczu z ciebie nie spuszcza!

Agnes spojrzała na Edyth i nagle zmieszała się: dwoje wielkich czarnych oczu istotnie patrzyło na nią z uporem.

— Cudzoziemka: Hiszpanka, czy też Włoszka — próbowała domyślić się Agnes.

— Ach, nie! — zaprotestował Jan — Hiszpanki bywają smagłe, ale ona przecież jest bronzowa! Spójrz na te usta okrągłe, mięsiste, wilgotne. Ona mi zakrawa raczej na Arabkę! To jakiś egzotyczny gość. Córka szeika!

— Janku, fantazja cię ponosi! — zaśmiała się Agnes, lekko uderzając brata po ramieniu. — Swoją drogą, ona jest jakaś dziwna.

Całą tę rozmowę rodzeństwo prowadziło półszeptem, ale Flora i Edyth mimo woli słyszały ją. Flora uśmiechnęła się leciuteńko.

— Widzisz, Edyth! zrobiono z ciebie córkę szeika!

Edyth nagle przysunęła sobie pudełko z czekoladkami i poczęła jeść.

Jan Balfoor wyszedł z loży. Do fotelu Agnes podszedł teraz szatyn z niebieskimi oczyma. Był to jej narzeczony. Poczęli rozmawiać cichutko, uśmiechając się wciąż do siebie. Agnes od czasu do czasu rzucała długie spojrzenia w stronę sąsiedniej loży.

— Henryku, daj mi program! Gdzie jest program?!

— Nie widzę go — rzekł Henryk.

*Ciąg dalszy nastąpi*

# JESIENNY LIST

**IMPRESJA**

Przestrzeń pachniała już jesienią. Tam na skrajach horyzontu refleksami czerwieni mieniły się bory. Jakby serafickie ekstrakty, wonie ziół skoszonych wiły się kolorowymi płatami w powietrzu. Śpiew wichrów miękkoskrzydłych drgał na iglicach turni.

Siedział u okien i patrzał na płomieniejące w dalach niebios szkarłatne zorze.

A w oczach jego zadumanych, przymglonych tail się pobrzask ukojenia. Oderwał je na chwilę od rozognionej kaskady jesiennych promieni słońca, i przesunął na leżący na stole list.

Był biały tą kremową bielą, karnacji kobiecego ciała, a tylko szafirowe linie liter, przypominały blask oczu.

Otulił go ciepłym spojrzeniem:

Przemijały przed źrenicami jego słowa, niby cyzelowane misternie klejnoty, tchące blaskami nieodgadnionych czarów. Wysnuwały o tej godzinie perłowej zmroku melodię piękna, rozpromieniały mu duszę.

Przerwał — — —

Zapatrzył się w granatowiejące płachty ciemni i gdzieś ze szlaków przestrzennych spłynęła nań wizja:

Rzeźbione, niby w starożytnej gemmie rysy, osnute złotymi puklami falujących włosów; usta szkarłatne szepczą jakieś pachnące kwietne słowa.

Bo dziwne! Z tym listem tyle splotło się utajonych tęsknot, zdało się ziszczać tyle pradawnych marzeń...

Znów oczadziły mózg zjawy bezmiaru życia — — —

I tu nagle, w tych chwilach udręki promienny błysk — owe zdania czające się zagadką...

Minęły długie dnie. Jesienne szarugi zasłały pola, łany, prószące, szare kaskady deszczów zlewały ziemię — spłakaną smutną.

Został znów sam...

Rozpierzchły się marzenia — — —

Przepadły barwne sny — — —

Tylko na stole bielił się list-wspomnienie.

**Jerzy Eglicz**

# REORGANIZACJA STADNINY W GUMNISKACH



Generalny Gubernator Dr Frank w obecności przedstawicieli rządu i wojska zamianował stadninę w Gumniskach główną stadniną Generalnego Gubernatorstwa. Na zdjęciu widzimy przywitanie Generalnego Gubernatora przez kierownika stadniny, gen. dyr. p. Rauerta.



Okazała czwórka rasy Gidran ze stadniny w Gumniskach. Poza swoimi obowiązkami matek stada, hodowane tam klacze pracują również na roli. Fot. Rösner

Dzięki reorganizacji, przeprowadzonej w ostatnich latach systematycznie przez władze Generalnego Gubernatorstwa, stadnina w Gumniskach stała się podstawą dla chowu silnych koni użytkowych dla rolników. Konie te należą do rasy Gidran, którą cechuje wielka wytrzymałość na trudy i wszelkie czynniki zewnętrzne przy małych wymaganiach. Rasa Gidran pochodzi z Węgier. W 1820 r. stworzono na przestrzeni 30 000 ha stadninę państwową z 800 klaczami dla armii węgierskiej. Konie dzieliły się na holsztyńskie, węgierskie, kirgizkie i czerkieskie. Z tych ostatnich wywodzi się rasa Gidran powstała przez połączenie klaczy czerkieskich z ogierem Saklavy-Jedranieox pochodzenia arabskiego. Główna stadnina rasy Gidran znajduje się w Chyszowie. Obecnie znajduje się tam przeszło 100 klaczy.

# ROZMAITOŚCI

### WSPÓŁCZESNE FABRYKI STAROŻYTNOŚCI

Od dawien dawna zbieranie starożytności jest szlachetną namiętnością ludzi rozporządzających odpowiednim majątkiem i obdarzonych skłonnościami artystycznymi. Z tych też powodów antykwarstwo jest jednym z najbardziej lukratywnych działów handlu. Niestety tylko bardzo drobna część towaru antykwarskiego jest naprawdę autentyczna. Większość jego jest fabrykatem nowoczesnym. Istnieją też liczne „wytwórnie" starych mebli, obrazów, broni, rękopisów, porcelany itd. Wystarczy przytoczyć słynną aferę fałszerską sprzed wojny, która rozgorzała dookoła tiary Sajtafernesa. Fabrykant staroświeckich dzieł sztuki musi być sam wielkim artystą, a ponadto dobrym chemikiem, gdyż pewne efekty artystyczne uzyskuje on środkami chemicznymi i bardzo przemyślnymi sztuczkami. Nie ma rzeczy świadczących o starożytności danego przedmiotu, których by fałszerz nie umiał podrobić. Ciekawą niezmiernie rzeczą jest zajrzeć do pracowni takiego „magika" antykwarstwa, podczas jego zawodowych czynności, mających uczynić z nowego obrazu „autentycznego" Holbeina czy też Rembrandta.

Są fabryki dostarczające antykwarzom pięknych, starych mebli, do których w wolnych chwilach od innych zajęć strzelają śrutem robotnicy, co ma imitować stoczenie przez robaki. Pod Dreznem istnieje również bardzo ciekawa fabryka porcelany z której wychodzą najwspanialsze „stare" Sewry, Meisseny, stare Wiednie itd. Ale na tym nie koniec. W Rzymie np. podrabia się bardzo dobrze rzymskie lampki oliwne, kawałki starorzymskich posągów itd. Specjalnością Holandii i Belgii są stare obrazy. Tak więc rynki antykwarskie są zawsze dobrze zaopatrzone, sprawiają jednak znawcy dużo kłopotu.

### NAJWIĘKSZA OZDOBA WSCHODNIEJ ARYSTOKRACJI

Europejscy amatorowie długich paznokci u rąk mają pilnych naśladowców wśród niektórych ludów Wschodniej Azji, szczególniej zaś w Sjamie, Anamie i różnych częściach Chin, gdzie długie paznokcie są nawet oznaką zewnętrzną szlachectwa.

Trzy do czterech centymetrów długie nie należą w Chinach do rzadkości, a szlachcianki tamtejsze noszą futerały metalowe na końcach palców dla ochrony swoich ozdób naturalnych. Kobiety chińskie przewyższają w tym względzie swoje koleżanki w Anam, Sjamie i Kochinchinie, a mężczyźni, powodowani próżnością dziecinną noszą istne szpony krogulcze o długości dochodzącej do 12 centymetrów i zaokrąglone na końcach. Paznokieć wielkiego palca bywa spiralnie zakręcony i tylko na palcu wskazującym brak tej ozdoby, dzięki czemu ręka może chwytać drobne przedmioty.

Spotkać można tam ręce wprost potworne, bo o paznokciach 40 do 45 centymetrów długich. Paznokcie te na średnim i małym palcu bywają wężowato zakręcone, a na wielkim również spiralnie.

Oczywiście, że podobne dziwolągi należą i tam do rzadkości. Pomiędzy dwudziestoma Sjamczykami zdarza się tylko jeden mający równie olbrzymie ozdoby.

W Indiach długie paznokcie są cechą znakomitego pochodzenia, gdyż okazują, że właściciel ich nie potrzebuje pracować rękami.

### NAJSTARSZY ZEGAR ŚWIATA

Instytut Orientalny, znajdujący się przy uniwersytecie w Chicago, posiada bodajże najstarszy zegar świata, skonstruowany 1300 lat przed narodzeniem Chrystusa. Wynalazcą zegaru ma być słynny faraon egipski Tutankhamen.

Oznacza się on wielką prostotą konstrukcji, jak w ogóle wszystkie starożytne wynalazki, lecz świadczy o wynalazczości Egipcjan.

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Pilsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

# LETICJA Z KOLMARU

NOWELA — NAPISAŁ LUCIANO ZUCCOLI

Pociąg zatrzymał się na stacji. Podróżny wychylił głowę, rozglądając się dokoła. Stacja duża, dobrze oświetlona, z białymi marmurowymi schodami, które prowadziły do podziemnych przejść. Wzdłuż wagonów przeszedł konduktor, trzymając na piersiach umocowaną rzemieniem latarnię. Podróżny zadał mu pytanie w języku niemieckim:

— Gdzie jesteśmy?

— Kolmar — odpowiedział konduktor, nie podnosząc głowy.

Kolmar! Podróżny, Francesco Rusconi, zauważył, iż konduktor z latarnią palącą się na piersiach wyglądał jak wielki owad, świecący wewnętrznym ogniem. Francesco zawołał tragarza, oddał mu walizki i pled i wyszedł z wagonu.

Gdyby ktoś w przeddzień powiedział mu, iż zatrzyma się w Kolmarze, byłby się zapewne uśmiał serdecznie. Jechał bowiem do Metz'u. Miał się tam spotkać z młodą, piękną panią, z którą łączyła go serdeczna przyjaźń i ofiarował się towarzyszyć jej do Włoch. Ona, dziwaczna, niezależna, odważna zgodziła się na to.

Lecz w wagonie zaskoczyła go okrutna, nieprzewidziana choroba: choroba wspomnień. Cała droga, od Milano do Como, od Como do Lugano i od Lugano do Lucerny była nimi zasiana. Tu kaprys, tam miłosna przygoda, dalej namiętność, tu uśmiechał się, tam kłamał, dalej, kochał i cierpiał. I zobaczywszy te miejsca, Francesco spostrzegł, że nie czuł już nic. Daremnie nasuwało mu to miasteczko bladą twarz Giuliany, napróżno z tej wioski biegło jeszcze echo zciszonego głosu, którym żegnała go Emma; na próżno hotel, na którym błyszczał w słońcu napis złoconymi literami, przypominał mu pieszczoty Klaudii. Daremnie, wszystko daremnie, niebezpieczeństwa i obawy, łzy i nadzieje, wzruszenia i zwycięstwa, radości tajemne i szalone zuchwalstwa otaczały go, jak resztki rozbitego okrętu, lecz serce jego, jakby zdławione tymi wspomnieniami było zimne, nie biło prędzej.

W Bazylei przesiadł się do niemieckiego pociągu i zajął miejsce w wagonie rzęsiście oświetlonym. Spojrzał w lustro i zauważył, że ma włosy gęste lecz siwiejące, twarz zapisaną drobniutkimi zmarszczkami. I nagle: poczuł się starym, nie tyle z powodu swej fizycznej powierzchowności, w której drgała jeszcze energia życia, ile przez nieczułość serca. Oczy, o jasnym spojrzeniu mówiły, że białe włosy i zmarszczki świadczą tylko o życiu przedwcześnie zaczętym i burzliwie spędzanym, lub może o wielu przebytych cierpieniach. Lecz serce mówiło, że jest już zmęczone, że dosyć biło, że chce odpocząć.

— Nie pojadę! — wykrzyknął.

Był sam w wagonie pierwszej klasy. Oparł się wygodnie na siedzeniu, wybitym czerwonym aksamitem i począł myśleć.

— Cóż za głupia myśl, jechać z Rzymu do Metzu, przebyć pół Europy tam i z powrotem po to tylko, aby zdobyć kobietę, popsuć pełną zaufania przyjaźń, aby, dojść później do sytości, porzucenia i rozczarowań? Pracować tyle, aby rzucić na wody resztki nowego rozbitego okrętu i dołączyć Metz do długiej litanii nazw. które miały przemawiać do jego serca, a nie mówiły nic?

— Nie pojadę — powtórzył głośno.

Już w Mühlhausen miał ochotę wysiąść, lecz oparł się i szukał jeszcze powodów, aby nie ustąpić i dotrzymać przyrzeczenia. Pomiędzy Mühlhausen a Kolmarem ogarnęła go nieznośna nuda. Nabrał pewności, że nie może już kochać, że nie umie, ponieważ serce zgasło.

I wysiadł w Kolmarze: wybrał w hotelu ładny pokój z widokiem na plac Rapp. spał znakomicie, jak we własnym domu i na własnym łóżku.

Na drugi dzień rano wysłał telegram do pani z Metzu, zawiadamiając ją, że nieprzewidziana żałoba zmusza go do powrotu do ojczyzny. Nie myślał o nieprawdopodobieństwie tego tłumaczenia, bo przecież wiadomość o śmierci nie mogła go dojść w wagonie, myślał tylko, że nie był już zdolny kochać, że miłość dla niego umarła.

— Spełniam dobry uczynek — myślał — i oszczędzam rozczarowania przyjaciółce. I wszedł do eleganckiego sklepu na Rufacherstrasse, aby zakupić papierosy.

Za ladą sklepową stała młoda dziewczyna, ubrana czarno, w śmiesznym fartuszku. Mogła mieć jakie 20 lat najwyżej i nie można było nazwać jej piękną. Szczupła, biała, o włosach kasztanowatych i ustach nieco dużych, z piwnymi oczyma, o spojrzeniu nadzwyczaj ruchliwym. Budziła odrazu myśl, że życie jej było ciągłym trudem, codziennym wysiłkiem panowania nad nerwami, i że musiała posiadać nadzwyczajną, prawie chorobliwą wrażliwość.

Francesco Rusconi zażądał papierosów, nie patrząc na nią. Położyła przed nim całe pudełko. Francesco zapytał, które są najlepsze i najwykwintniejsze, zatrzymując się chwilę dla bezmyślnej pogawędki. Z jego akcentu, a być może ze zdań, które były raczej gramatyką, a nie żywym językiem, dziewczyna odgadła, że jest cudzoziemcem, zawahała się na chwilę, a potem zapytała niepewna:

— M'sieur n'est pas allemand?

— Nein — zawołał, śmiejąc się Francesco. — Je suis italien, mademoiselle.

— Moi je suis française! Alors, m'sieu, si vous préferéz les Kiryazy?

Powiedziała: moi je suis française z wyrazem takiej dumy, że Francesco podniósł głowę, aby na nią spojrzeć. Poczerwieniała nieco pod tym ciekawym spojrzeniem. Rusconi wziął pudełko papierosów Kiryazy, ukłonił się i wyszedł.

Jakież to ładne miasteczko Kolmar. Spokojne, czyste, wesołe. Panie i służące spieszyły do zajęcia lub na rynek na rowerach, niektóre miały przy kierownicy kosze, a z nich zwieszała się sałata i marchew. Panie i służące jechały spiesznie, aby prędzej powrócić do domu i przygotować śniadanie.

Spadłszy tu jak z nieba, nie mając nic do roboty, Francesco włóczył się po mieście i czynił obserwacje. Jakiś policjant w pikielhaubie, o szerokiej blond brodzie obszedł go kilka razy naokoło. Zatrzymywał się, aby obejrzeć fontannę Schwendi, potem Schwendibraune, z arkadą nad każdym wodotryskiem i Pfisterhaus, dom w niemieckim stylu, z ciemną galerią, z balkonem, jakby zawieszonym w rogu i z wieżyczką wieloboczną. Podobało się Francescowi wszystko: spokój czystego miasteczka odpowiadał spokojowi jego serca. Myślał, że kiedy miłość zamarła, serce jest spokojne. Zjadł śniadanie w Kopfhauzie, w domu „pod głowami", nazwanym tak z powodu dekoracji każdego z pięter, składającej się z głów wojowników i amoków. Z balkonów zwieszały się różowe geranie i czerwone goździki. Fronton, w formie trójkąta, z ozdobami po bokach i z grubym bałwankiem na szczycie, robił wrażenie chińskiego budynku. Francesco napił się doskonałego białego wina reńskiego i jadł z dużym apetytem.

— Zostanę w Kolmarze cały rok! — obiecywał sobie, wracając powoli na Rufacherstrasse.

Przy hotelu spostrzegł, że nie ma zapałek, więc wrócił do sklepu. Dziewczyna siedziała jeszcze za ladą i czytała.

— Alors, mademoiselle est française? — powiedział, uśmiechając się.

A ponieważ nic nie miał do roboty, zaczął rozmawiać. Dziewczyna odpowiadała uprzejmie, bez bojaźni, lecz bez zbytniej pewności siebie. Rodzina jej była uczuciem i myślą: francuską. Ona nazywała się Leticja, na cześć babki cesarza i jakkolwiek tego nie mówiła, Francesco czuł w jej słowach głuchą nienawiść do otoczenia. Leticja marzyła o Paryżu, nigdy tam nie była; ojciec i matka obiecywali jej kilka razy wycieczkę do Paryża, lecz dotychczas nie udało się jej tam być.

Wtedy Francesco zaczął opowiadać jej o Paryżu i ażeby to lepiej uczynić przysunął sobie krzesło i wygodnie usiadł. Dziewczyna chciwie słuchała opowiadania pana o białych włosach i żywych oczach, zadowolona, słysząc, że Paryż jest miastem olbrzymim, bogatym i jednym z największych miast na świecie. Wypytywała wciąż, jakby dla zapewnienia siebie, jak wielkim jest to miasto i jak bardzo bogatym.

Przychodzili klienci, kupowali i wychodzili, przerwana rozmowa toczyła się dalej. Leticja była szczęśliwa, że mogła poznać człowieka, kochającego jej Paryż, a Francesco, patrząc na dziecinne ożywienie dziewczyny, na jej oczy, pałające zadowoleniem, na te szerokie nieco usta, świecące ślicznymi, białymi zębami, wierzył, że opowiada istotnie rzeczy nadzwyczajne, niezwykłe, że jest dawnym przyjacielem Leticji, i że odnalazł ją znów w Kolmarze, po krótkiej rozłące.

Nareszcie, gdy Francesco miał już odejść, zjawiła się matka Leticji, sympatyczna osoba, o trochę okrągłych kształtach, wesoła i uprzejma, madame Brigitte Gericault. Wdała się w rozmowę, mówiąc przy tym z taką szybkością, że Francesco oszołomiony odrazu usiadł znowu. Wkrótce przyjaźń była zawarta; dowiedziawszy się, że Rusconi jest sam w Kolmarze, że nie ma tu żadnych znajomości, madame Brigitte ośmieliła się i powiedziała mu, że jeżeliby zechciał kiedy spróbować francuskiej kuchni...

Leticja zrozumiała, że matka posunęła się za daleko i rzuciła na nią długie, wymowne spojrzenie, w celu przerwania dalszego toku rozmowy, lecz Francesco już zdążył przyjąć zaproszenie. Pani Brigitte dodała, że mieszkają obok domu Rycerzy św. Jana, małego arcydzieła sztuki architektonicznej.

— Zostanę w Kolmarze cały rok! — znów pomyślał Francesco, wychodząc nareszcie po dwugodzinnej rozmowie na ulicę i kierując się ku hotelowi.

Z rana Leticja zwykle była za ladą, w południe zastępowała ją matka, a wieczorem w sklepie był ojciec. Co rano Francesco wstępował do sklepu, kupował sobie papierosy i gawędził.

Powoli zauważył, że Leticja jest inną, niż ją sobie z początku wyobrażał. Była wesoła, dowcipna, witała go zawsze wdzięcznym uśmiechem i opowiadała mu tysiące drobiazgów, dziecinnych przeżyć, wypytując się o Włochy, które wyobrażała sobie jako jeden nieskończony, pachnący ogród; Francesco nie starał się zachwiać jej wiary, nie chcąc mącić jej wiedzy geograficznej, zaczerpniętej ze szkoły, która uczyła, że „l'Italie est le jardin d'Europe". Z tych pogawędek wyciągnął wniosek, że jasnym jest, iż dziewczyna jest szczera, nie zna żadnych innych uczuć, prócz miłości dla matki i ojca i nie jest ani zepsuta, ani kokietka.

W niedzielę ubrała się w narodowy strój z szacunku dla tradycji. Wspaniała, czarna wstęga, zawiązana na głowie na podobieństwo dwu wielkich skrzydeł i spadająca wzdłuż pleców, robiła wrażenie przepysznego, olbrzymich rozmiarów motyla, który się zatrzymał nad główką dziewczyny. Było jej z tym tak ładnie, że Francesco nie mógł się powstrzymać od lekkiego okrzyku zachwycenia:

— Vous êtes adorable, mademoiselle — zawołał.

Leticja zaczerwieniła się ogromnie i zażenowana wyszeptała kilka słów. Francesco prosił ją o przebaczenie, że nie powstrzymał wyrazów zachwytu, które jej przykrość sprawiły; potem zaproponował swoje usługi przy spacerze, na który wybierała się z matką i poszli, udając się powoli ku tej części miasta, która, położona nad brzegiem rzeki Lauch, ma wygląd spokojnego, małego miasteczka z długim szeregiem domów, tu i ówdzie przerwanym kępami zieleni.

Wracając z przechadzki Francesco czuł, że Leticja dąsa się jeszcze na niego za nieco brutalny komplement, kupił więc od chłopca duży pęk pachnących fiołków i ofiarował je dziewczynie. Leticja przyjęła je z ochotą, rozdzieliła na dwie części i jedną podała matce.

— Pięknie, popełniłem drugie głupstwo! — pomyślał Francesco. — Powinienem był ofiarować je pani Brygidzie...

Lecz na drugi dzień zobaczył, że Leticja przypięła do bluzki mały bukiecik tych fiołków.

Kuchnia pani Brygidy Gericault była doskonała. Ojciec Leticji był to prosty poczciwina, który służył w r. 1870, był ranny pod Gravelotte i nie mówił nigdy o strasznym roku. Francesco był dwa razy na obiedzie u państwa Gericault i dwa razy zaprosił całą rodzinę na obiad do restauracji.

Pewnego wieczora, wracając z jednego z tych skromnych obiadów, Francesco szedł obok Leticji, a za nimi, w pewnym oddaleniu rodzice. Chociaż była dopiero dziewiąta wieczorem, miasteczko prawie już zasypiało, można było policzyć przechodniów, księżyc świecił, rozlewając łagodne, perłowe światło.

Francesco zatrzymał się, aby się rozejrzeć. Przed nim biegły dwie puste ulice, rozdzielone grupą domów, które bielił księżyc. Cisza była głęboka, tylko w końcu jednej z ulic błyszczało czerwone światło, jedyny znak życia. Styl tych domów o dachach pochyłych, na których, jak złodzieje, wyłaził cały rząd okienek, harmonizował z ciszą tej godziny.

Podczas gdy Francesco wyrażał swoje uwielbienie, z okien klubu włoskiego przypłynęła fala słodkiej muzyki, która zdawała się mówić o dalekich krajach, wymarzonych przez Leticję, o ogrodach Włoch i ukochanej Francji, aż wionęła i rozwiała się w powietrzu, jak długi płacz za czymś, czego już nie ma i co nie stanie się już nigdy. Francesco i Leticja instynktownie zbliżyli się do siebie i poczęli iść wolno, nie mówiąc ani słowa.

Lecz chwila dziwnego zakłopotania nie powtórzyła się już. Francesco prawie cały dzień spędzał w sklepie a Leticja pracowała, słuchając gawędy przyjaciela, od czasu do czasu podnosiła głowę, aby się do niego uśmiechnąć, popatrzeć mu w oczy i znów pochylała się nad robotą. Haftowała długi pas z płótna, który można było położyć jako ozdobę na stoliku, a Francesco udawał, że nie rozumie, iż litery F. R. nie mogą chyba oznaczać Leticja Gericault. Przynosił kwiaty co dzień rano, ona przypinała je do gorsu a potem zaczynali wesoło rozmawiać. Francesco śmiał się, że w tym miasteczku były tylko tablice pamiątkowe i pomniki francuskich generałów, poczynając od posągu Rappa, na ogromnym placu jego imienia. Niektóre kąciki w miasteczku były przedziwne, z jakimś małym kanałem, na którym kołysał się rząd wąskich i długich łódek, podobnych do pirogów, stary dom pod św. Marcinem, z którego galerii zwieszały się kwiaty purpurowe, ożywiając stare, rzeźbione drzewo, wydawał mu się piękniejszym od domu św. Jana o pięciu oknach i z podwójnym gankiem. I Leticja i Francesco zapomnieli, że Francesco był w Kolmarze tylko przejazdem i że nadejdzie dzień, w którym będzie musiał wracać. Zdawało się obojgu, że zawsze żyli w maleńkim miasteczku, gdzie mieszkańcy kładą się spać o dziewiątej wieczorem i gdzie ulice w nocy przypominały dekorację z melodramatu. Leticja, która nienawidziła Kolmaru jako najbrzydszego, prowincjonalnego miasteczka, raptem poczuła doń przywiązanie. Wiele rzeczy oryginalnych uszło jej wzroku, a kiedy na spacerze Francesco zwrócił jej na nie uwagę, Kolmar przybierał dla niej inny wygląd i inne znaczenie, jak gdyby słowa przyjaciela tchnęły duszę we wdzięczne miasteczko. I wszystko naokół było wesołe: i pora roku i słońce i ciepły powiew wiatru, dziewczyna nigdzie nie czuła takiej mocnej radości życia i bardzej od wiosennego słońca rozgrzewał ją tajemny ogień wewnętrzny, który miała w sercu.

Pewnego poranka Francesco rozmawiał z Leticją o wycieczce do Strassburga. Odbyć się miała nazajutrz. Wszedł chłopiec hotelowy. Francesco wziął od niego swoją pocztę i chłopiec poszedł. Było kilka listów i telegram. Francesco otworzył go, przeczytał parę razy i wyszeptał:

— Il faut que je parte... Ma femme me réclame. Elle est sauffrante. (Muszę wracać — żona mnie wzywa — jest chora).

Dziewczyna wydała okrzyk.

— Votre femme? — powiedziała głosem zgorszonym.

— Vous êtes marié? (pan jest żonaty?)

— Odrzuciła haft, wstała, cała drżąca, bledsza od ściany, o którą się wsparła, aby nie upaść. Francesco odpowiedział prawie po cichu:

— On le dit!

— Vous partez alors? — więc pan jedzie? — pytała Leticja.

Francesco nie odpowiedział, dziewczyna nie pytała więcej. Żadne z nich nie myślało nigdy o tym, co się działo w ich sercach i obydwoje dowiedzieli się okrutnej prawdy w tej godzinie, w której mieli się rozstać na zawsze.

— Partez, partez vite, aujurd' hui même! (Jedź pan, jedź prędko, dziś jeszcze) — powiedziała Leticja głosem stłumionym. — Que celte torture incroyable finisse. (Niech się ta straszliwa męka skończy).

Francesco nie mówiąc już ani słowa, wyszedł. W hotelu kazał przygotować swój bagaż, potem rzucił się na łóżko i pozostał tak z zamkniętymi oczyma, nie chcąc ani myśleć ani rozumieć, ani przyznać się przed samym sobą.

Wieczorem poszedł do państwa Gericault, aby się pożegnać. Poczciwi starcy byli zmartwieni nagłym wyjazdem przyjaciela, wyrazili nadzieję, że go ujrzą niezadługo, na co Francesco gorzko się uśmiechnął.

Leticji nie było, miała trochę migreny, przepraszała, że nie może przyjść.

Francesco myślał już, że pojedzie bez pożegnania, i zdawało mu się, że tak będzie lepiej. Gdy wtem drzwi się otworzyły i stanęła w nich dziewczyna.

Oczy jej błyszczały rozpaczą i odwagą: teraz schudła raptem, jakby pożarta przez palące łzy i gorączkę. Podeszła do Francesca i podając mu mały pakiecik, zawierający haft jej roboty:

— Tenez! — powiedziała jasnym głosem. — Emportez un sauvenir de votre Letitia! (proszę, zabierz pan pamiątkę od Leticji).

Potym, nie czując się już na siłach, aby spojrzeć mu w oczy — odwróciła się i wyszła chwiejnym krokiem.

Państwo Gericault chcieli odprowadzić Francesca na stację, lecz udało mu się wykręcić się od tego. Powrócił do hotelu pakować swoje rzeczy, pojechał na stację, wskoczył do wagonu pierwszej klasy, w którym się znalazł sam, jak w wieczór swojego przybycia. Popatrzył z boleścią naokół. Pociąg ruszył.

— Żegnaj, mały i cichy Kolmarze! Żegnaj kochana, biała Leticjo, której nie zobaczę już nigdy, już nigdy...

I ten, który myślał, że serce jego zgasło i opiewał słodycz niekochania, ukrył twarz w dłoniach i płakał długo.

Z WŁOSKIEGO PRZEŁOŻYŁ JERZY SOPLICA

AMALIA ŁUCZYŃSKA

## Lecą liście z drzew

*Adagio — lecą liście złote*
*na naszych wspomnień najmilszą pieszczotę*
*— na ścieżki, którymiśmy szli*
*miły mój*
*spadają liście złote. —*
*Lecą liście-bursztyny*
*z złocistej tkaniny,*
*szmaragdowy zrzuciwszy strój.*

*Sumią olchy w alei*
*sypiąc szmer złotawy na ziemię miękką.*
*— Uciszcie się drzewa!...*
*Wiatr rozstaniem zaszumiał, uklęknął*
*i ścieżkę zawiewa.*

*Adagio — idzie jesień nad nami; —*
*Las się złotem przesycił, w szeleście trwa.*
*Wiatr ciągle zaznacza wiraże.*
*...Urwałam listki dwa,*
*że wiosną byliśmy tu razem...*
*Ty i ja...*
*Adagio! Adagio! Jesień!*

# ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

Hela przyszła z dużym opóźnieniem na randkę. W chwilę potem tuląc się do najdroższego pyta:
— Czy będziesz mnie wiecznie kochał Henryku?
— Ależ naturalnie, moja droga, przecież już pół wieczności czekałem na ciebie.

*

Matka (zła): — Józek! czy nie pamiętasz, co ja ci przed chwilą powiedziałam?
Mały Józio: — Ach! a to mama ma słabą pamięć!

*

— Bardzo też pani tęskni jeszcze po nieboszczyku mężu?
— Nie bardzo, droga pani, bo nie mam czasu, ten Walenty, sklepikarz, stara się o mnie, więc ciągle przychodzi i muszę z nim mówić o weselu.

*

— Panno Eulalio, za tydzień nasze wesele!... Pozwól, że skorzystam z praw narzeczonego i raz przecie panią pocałuję!...
— O, co to — to nie! Dałam sobie słowo, że z narzeczonym będę ostrożna bom się już raz w życiu na tym mocno popiekła.

*

— Jakże sobie pani radzi z pensją swego męża?
— Z pensją sobie radzę, ale nie mogę sobie poradzić z miesiącem. Zawsze jest za długi o 20 dni.





*— „Dlaczego nosisz zakładkę od książek za paskiem?"*
*— „Mój narzeczony włożył mi ją tam, by nie zapomnieć, dokąd zaszliśmy wczoraj w naszej idylli miłosnej".*
(Marc Aurelio, Włochy)

— Ludzie plotkują, że zaręczyłeś się z Jadźką tylko dla pieniędzy.
— To jest podwójne kłamstwo, bo po pierwsze; ona nie ma pieniędzy, a po drugie w ogóle nie myślę się z nią żenić.

*

— Co za wspaniały masz kapelusz!
— Czy poznać po nim, że noszę go już 10 lat?
— Wcale nie, wygląda jak nowy.
— Przez sześć lat nosiłem go bez jakichkolwiek przeróbek, przed trzema laty dałem go przefasonować, a w zeszłym roku kazałem go ufarbować. Wreszcie przed trzema tygodniami zamieniłem niechcąco w kawiarni.

*

Karolowi na urodziny wręcza żona prezenty. Między nimi widzi Karol wielką flaszkę wody na wzmocnienie włosów, zdumiony pyta żony:
— Dlaczego kupiłaś mi tę wodę, przecież mnie włosy nie wypadają.
— Podaruj ją swej sekretarce, nie chcę wciąż znajdywać tylu blond włosów na twych ubraniach.



*„Czemuż tak głupio wytrzeszczasz na mnie oczy? Wczoraj tyś siedziała przecież na jego kolanach".*
(Sempre-Fixe, Portugalia)

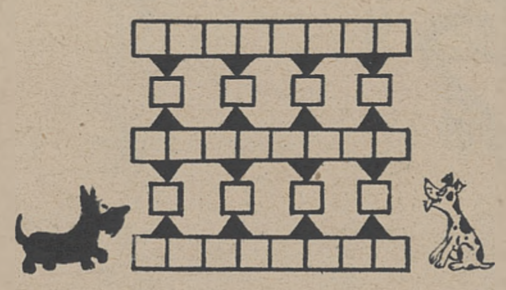
*Kelner: „Przepraszam, czy pan jeszcze czyta gazetę?"*
(Marc Aurelio, Włochy)



*„Teraz już chyba zrozumiałeś użyteczność mojego nowego wynalazku. Dzięki niemu nie uchodzi mej uwadze żaden niedopałek z papierosa".*
(Söndagsnisse-Strix, Szwecja)

## ROZRYWKI UMYSŁOWE

**ZYGZAK**
**nadesłał p. Reichel z Jasła**



a, a, a, a, a, a, b, b, c, c, e, e, e, ę, h, i, i, i, j, k, k, k, k, m, n, n, o, o, o, o, o, o, o, r, r, s, t, t, t, z.

Z powyższych liter należy utworzyć i wpisać pionowo w zygzak 8 pięcioliterowych wyrazów, które mają parami wspólne litery: drugą i trzecią.

**Znaczenie wyrazów:** 1. miejsce pobytu dusz czystych, 2. ptak, 3. sport zimowy, 4. półwysep we wsch. Azji, 5. główna tętnica, 6. myśl przewodnia, 7. środek komunikacji (w zimie), 8. inaczej zabawka.



*„Ach, Kamilo, chciałbym się wśliznąć do twego maleńkiego serduszka!"*
(Sempre-Fixe, Portugalia)

# UWAGA! FOTOAMATORZY! OGŁASZAMY II KONKURS

Redakcja, idąc po myśli życzeń i próśb wielu fotoamatorów, by podawać okresowo tematy dla konkursowych zdjęć — ogłasza II-gi konkurs na zdjęcie p. t. „Potęga pracy".

Podobnie jak w poprzednim konkursie — nie narzucamy ściśle określonych ram tematycznych — lecz pozwalamy na najszerszą swobodę kompozycji i indywidualne podejście do tematu.

Podkreślamy jednak, by fotoamatorzy pragnący wziąć udział w naszym konkursie, podchodzili do tematu ze zrozumieniem i wyczuciem — gdyż tylko te zdjęcia zostaną wyróżnione i nagrodzone, które będą zawierać myśl i treść zgodną z podanym tematem, przy czym ta ostatnia może obejmować nie tylko pracę umysłów i rąk ludzkich, lecz także pracę maszyn, zwierząt, żywiołów itp. oraz jej rezultat w pojęciu najszerszym.

Termin nadsyłania fotografii konkursowych upływa z dniem 6-go grudnia br. Wszystkie wyróżnione zdjęcia zamieścimy w kąciku fotoamatorów I. K. P., zaś dwa najlepsze otrzymają dodatkowe nagrody: I — 25 zł, II — 20 zł.

Opracowane zdjęcia (ilość i format — dowolne) należy nadsyłać do Redakcji I.K.P. Kraków, Piłsudskiego 19 w zamkniętej kopercie z napisem: „II konkurs fotoamatorów".





**CIEKAWOŚĆ**
O przykładnej kompozycji rysunkowej, miłym temacie i wysokich walorach artystycznych zdjęcie. Wykonał p. Bogdan Urbanowicz z Krakowa.

**APORT WE WODZIE**
Efektowny moment motywu. Przemyślana kompozycja i dobre techniczne wykonanie zdjęcia oraz umiejętne wydobycie harmonii światłocienia, spotęgowały zrozumienie tematu. Wykonał p. Z. Nazarewicz z Krakowa.



**PRZEPRAWA**

PEŁNE NASTROJU ZDJĘCIE, WYKONANE PRZEZ NIEMIECKIEGO SPRAWOZDAWCĘ WOJENNEGO — Z BOGATEGO W JEZIORA TERENU WALK NA FIŃSKIM FRONCIE PÓŁNOCNYM.

Fot. SS PK. Wishiewski